



**Mario
Puzo**

**Ojciec
Chrzestny**

Rozdział 1

Amerigo Bonasera siedział w nowojorskim Sądzie Karnym numer trzy i czekał na sprawiedliwość — zemstę na ludziach, którzy tak okrutnie skrzywdzili jego córkę, którzy usiłowali ją pohańbić.

Sędzia, mężczyzna o masywnej, ciężkiej twarzy, podwinął rękawy czarnej togi, jak gdyby zamierzał fizycznie ukarać dwóch młodych ludzi stojących przed jego stołem. Twarz miał zimną, pełną majestatycznej pogardy. Jednakże w tym wszystkim było coś fałszywego, coś, co Amerigo Bonasera wyczuwał, choć czego jeszcze nie rozumiał.

— Postąpiliście jak najgorsi zwyrodnialcy — powiedział ostro sędzia.

Tak, tak — myślał Amerigo Bonasera. — Zwierzaki. Zwierzaki. Dwaj młodzi ludzie z krótko przystrzyżonymi, lśniąco czarnymi włosami, wypucowanymi, sympatycznymi twarzami, ułożonymi w wyraz pokornej skruchy, schylili potulnie głowy. Sędzia mówił dalej:

— Postąpiliście jak dzikie bestie w dżungli i macie szczęście, że nie napastowaliście seksualnie tej biednej dziewczyny, bo wsadziłbym was za kratki na dwadzieścia lat.

Sędzia przerwał, jego oczy pod imponująco krzaczastymi brwiami zerknęły przebiegle na poblądłego Ameriga Bonasere, po czym spoczęły na leżącym przed nim stosie protokołów nadzoru sądowego. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, jak gdyby przekonany wbrew własnej chęci. Przemówił znowu:

— Ale przez wzgląd na wasz młody wiek, na waszą dotychczasową niekaralność, na wasze zacne rodziny oraz dlatego,

że prawo w swoim majestacie nie szuka zemsty, skazuję was na trzy lata więzienia z zawieszeniem.

Jedynie dzięki czterdziestu latom zawodowego żałobnictwa przytłaczające uczucie zawodu i nienawiści nie ujawniło się na twarzy Ameriga Bonasery. Jego piękna, młoda córka przebywała nadal w szpitalu ze zdrutowaną złamaną szczęką, a ci *animali* mieli odejść wolno? Wszystko to było farsą. Patrzył, jak uszczęśliwieni rodzice otoczyli swych synków. O, teraz wszyscy oni byli uradowani, teraz wszyscy się uśmiechali.

W krtani Bonasery wezbrała czarna żółć, kwaśna i gorzka, i przelała się przez mocno zaciśnięte zęby. Wyjął białą płócienną chusteczkę i przytknął ją do warg. Stał tak, kiedy obaj młodzi ludzie ruszyli swobodnie przejściem, ufni i chłodni, uśmiechnięci, nawet nie obdarzywszy go spojrzeniem. Pozwolił im przejść nie mówiąc ani słowa, przyciskając czyste płótno do ust.

Potem przeszli rodzice tych *animali*, dwaj mężczyźni i dwie kobiety w jego wieku, ale ubrani bardziej po amerykańsku. Zerknęli na niego z zawstydzeniem, ale w ich oczach było jakieś dziwne, triumfalne wyzwanie.

Straciwszy panowanie nad sobą, Bonasera pochylił się ku przejściu i wykrzyknął chrapliwie:

— Będziecie płakali, tak jak ja płakałem... Zapłaczecie przeze mnie, tak jak ja płacę przez wasze dzieci! — Chustkę przytknął teraz do oczu.

Adwokaci idący z tyłu stłoczyli swych klientów w małą grupkę, otaczając obydwu młodzieńców, którzy zawrócili przejściem, jak gdyby chcąc osłonić swoich rodziców. Olbrzymi woźny podsunął się szybko, aby zagrozić rząd miejsc, w którym stał Bonasera. Ale nie było to potrzebne.

Przez wszystkie lata spędzone w Ameryce Amerigo Bonasera ufał w prawo i ład. I dzięki temu prosperował. Teraz, choć ział nienawiścią, chociaż szalone myśli o kupieniu rewolweru i zabicium obu młodzieńców miały mu się pod czaszką, Bonasera obrócił się do swej jeszcze oszołomionej żony i wytłumaczył jej:

— Zrobili z nas głupców. — Przerwał, a potem powziął decyzję, już nie lękając się ceny. — Po sprawiedliwość musimy iść na klęczkach do dona Corleone.

W krzykliwie przyozdobionym apartamencie hotelowym w Los

Angeles Johnny Fontane spił się z zazdrości jak każdy zwykły mąż. Wyciągnawszy się na czerwonej kanapie, popijał whisky wprost z trzymanej w ręku butelki, po czym spłukiwał smak, zanurzając usta w kryształowym wiaderku z kostkami lodu i wodą. Była czwarta nad ranem i snuł pijackie rojenia, że zamorduje swą włóczącą się żonę, kiedy wróci do domu. Jeżeli w ogóle wróci. Zrobiło się za późno, żeby telefonować do pierwszej żony i pytać o dzieci, a niezręcznie mu było dzwonić do któregoś z przyjaciół teraz, kiedy jego kariera chyliła się ku upadkowi. Niegdyś byliby zachwyceni i zaszczyceni, gdyby zadzwonił do nich o czwartej rano, ale teraz ich nudził. Zdołał nawet uśmiechnąć się z lekka do siebie na myśl, że kiedy szedł w górę, kłopoty Johnny'ego Fontane fascynowały niektóre z największych gwiazd w Ameryce.

Łykając whisky z butelki, usłyszał wreszcie klucz żony w zamku, ale pił dalej, póki nie weszła do pokoju i nie stanęła przed nim. Wydawała mu się tak bardzo piękna z tą swoją anielską twarzą, marzącymi fiołkowymi oczyma, delikatnym, kruchym, lecz doskonale ukształtowanym ciałem. Na ekranie uroda jej była uwydatniona, bardziej uduchowiona. Sto milionów mężczyzn na całym świecie kochało się w twarzy Margot Ashton. I płaciło, żeby zobaczyć ją na ekranie.

— Gdzie byłaś, psiakrew? — zapytał Johnny Fontane.

— Rznęłam się.

Nie doceniała jego upicia. Przeskoczył przez stoliczek koktajlowy i chwycił ją za gardło. Ale znalazłszy się blisko tej czarodziejskiej twarzy, tych ślicznych fiołkowych oczu, utracił całą złość i znowu stał się bezradny. Popęłniła ten błąd, że uśmiechnęła się drwiąco, ujrzała jego pięść biorącą zamach. Krzyknęła:

— Johnny, nie w twarz! Kręcę film!

Śmiała się. Uderzył ją w brzuch i upadła na podłogę. Rzucił się na nią. Czuł jej pachnący oddech, kiedy chwyciła ustami powietrze. Walił ją po rękach i po jędrnych, jedwabistych, opalonych udach. Bił ją tak, jak bijał zasmarkanych mniejszych chłopaków dawno temu, kiedy był rozhukanym nastolatkiem w nowojorskiej Kuchni Piekielnej*. Bolesne ciągi, które nie zostawiały trwałego

* dzielnica w zachodniej części Manhattanu, słynąca ze złodziei i bandytów

oszcpecenia, obruszonych zębów czy złamanego nosa.

Jednakże nie bił jej dostatecznie mocno. Nie mógł. A ona podśmiewała się z niego. Rozciągnięta na podłodze, w brokatowej sukni zadartej nad uda, naigrawała się zeń między jednym chichotem a drugim:

— No, wsadź mi. Wsadź mi, Johnny, przecież tego chcesz w gruncie rzeczy.

Johnny Fontane wstał. Nienawidził leżącej na podłodze kobiety, ale jej piękność była magiczną tarczą. Margot przekręciła się na bok i jednym skokiem tancerki stanęła naprzeciw niego. Zaczęła żartobliwy, dziecienny taniec, powtarzając śpiewnie:

— Johnny nie zrobi mi krzywdy, nigdy nie zrobi mi krzywdy!
— A potem, prawie smutnie, poważna i piękna, powiedziała: — Ty biedny głupcze, dajesz mi lanie jak dzieciak. Ach, Johnny, zawsze będziesz durnym, romantycznym makaroniarzem, nawet w łóżku jesteś jak dzieciak. Wciąż myślisz, że rypanie jest naprawdę takie jak w tych głupawych piosenkach, które śpiewałeś. — Potrząsnęła głową i dodała: — Biedny Johnny. Pa, Johnny. — Weszła do sypialni i usłyszał przekręcanie klucza w zamku.

Johnny siadł na podłodze, ukrywszy twarz w dłoniach. Ogarnęła go mdła, upokarzająca rozpacz. A potem ta prostacka twardość, która pomogła mu ostać się w dżungli Hollywoodu, sprawiła, że podniósł słuchawkę telefonu i zamówił samochód na lotnisko. Był tylko jeden człowiek, który mógł go uratować. Pojedzie do Nowego Jorku. Pojedzie do jedyne go człowieka mającego władzę i mądrość, których potrzebował, i miłość, której nadal ufał. Do swego ojca chrzestnego, dona Corleone.

Piekarz Naborine, pulchny i rumiany jak jego wielkie włoskie bochenki, jeszcze ubielony mąką, popatrzał spode łba na swoją żonę, dorastającą córkę Katherine i pomocnika piekarskiego Enzo. Enzo przebrał się już w mundur jeniecki z opaską z zielonymi literami i był przerażony, że przez tę scenę spóźni się z zameldowaniem na Governor's Island. Będąc jednym z wielu tysięcy włoskich jeńców wojennych, codziennie zwalnianych warunkowo do pracy w gospodarce amerykańskiej, żył w ustawicznym strachu, że to zwalnianie zostanie cofnięte. I dlatego odgrywana w tej chwili mała komedia była dla niego sprawą poważną.

Nazorine pytał z zaciekłością:

— Pohańbiłeś moją rodzinę? Obdarowałeś moją córkę tobołkiem po to, żeby cię wspominała teraz, kiedy wojna się skończyła i kiedy wiesz, że Ameryka wykopie cię z powrotem do twojej zafajdanej wioski na Sycylii?

Enzo, krępy, mocno zbudowany chłopak, przyłożył dłoń do serca i powiedział prawie ze łzami, ale roztropnie:

— *Padrone*, przysięgam na Najświętszą Pannę, że nigdy nie wykorzystałem pańskiej dobroci. Kocham pana córkę z całym uszanowaniem. Proszę o jej rękę z całym uszanowaniem. Wiem, że nie mam prawa, ale jeżeli mnie odeślą do Włoch, nie będę mógł nigdy ożenić się z Katherine.

Żona Nazorinego, Filomena, przemówiła rzeczowo:

— Daj spokój z tymi głupotami — zwróciła się do pulchnego małżonka. — Wiesz, co masz zrobić. Zatrzymaj tu Enza, wyślij go, żeby się schował u naszych kuzynów na Long Island.

Katherine płakała. Była już tęga, pospolita i sypał jej się mały wąsik. Nigdy nie znalazłaby męża tak przystojnego jak Enzo, nigdy nie znalazłaby innego mężczyzny, który dotykałby sekretnych miejsc jej ciała z tak pełną uszanowania miłością.

— Wyjadę i zamieszkać we Włoszech! — wrzasnęła do ojca. — Ucieknę, jeżeli nie zatrzymasz tu Enza.

Nazorine zerknął na nią przenikliwie. To była „gorąca sztuka”, ta jego córka. Widział, jak ocierała się zaokrąglonymi pośladkami o przód Enza, kiedy pomocnik piekarski przeciskał się za nią, aby napęlić koszyki na kontuarze gorącymi bochenkami z pieca. Gorący bochenek tego młodego nicponia znajdzie się w jej piecu — myślał lubieżnie Nazorine — jeżeli nie poczyni się odpowiednich kroków. Enza trzeba zatrzymać w Ameryce i zrobić amerykańskim obywatelem. A był tylko jeden człowiek, który mógł załatwić taką sprawę. Ojciec Chrzestny. Don Corleone.

Wszyscy ci ludzie i wielu innych otrzymali rytowane zaproszenia na ślub panny Constanzii Corleone, który miał odbyć się w ostatnią sobotę sierpnia 1945 roku. Ojciec panny młodej, don Vito Corleone, nigdy nie zapomniał o swoich dawnych przyjaciółach i sąsiadach, choć teraz mieszkał w ogromnym domu na Long Island. Przyjęcie miało być wydane w tym domu, a zabawa miała trwać cały dzień. Nie ulegało wątpliwości, że będzie to doniosłe wydarzenie. Wojna

z Japończykami właśnie się zakończyła, więc dręczący strach o synów walczących na froncie nie miał już rzucać cienia na te uroczystości. Wesele było właśnie tym, czego ludzie potrzebowali, żeby okazać swoją radość.

Tak więc owego sobotniego poranka przyjaciele dona Corleone zaczęli napływać z Nowego Jorku, aby go uczcić. Wieźli jako podarki ślubne kremowe koperty wypchane gotówką — bez żadnych czeków. Wewnątrz każdej koperty była karta określająca tożsamość ofiarodawcy oraz miarę jego szacunku dla Ojca Chrzestnego. Szacunku prawdziwie zasłużonego.

Don Vito Corleone był człowiekiem, do którego wszyscy zwracali się o pomoc i nigdy nie doznawali zawodu. Nie składał czczych obietnic ani nie wymawiał się małodusznie, że ma ręce związane przez potężniejsze od siebie siły na świecie. Niekoniecznie musiał być czyjś przyjacielem, nie było nawet ważne, iż ktoś nie miał środków, by mu się odwzajemnić. Jedna tylko rzecz była niezbędna. Żeby ktoś sam zadeklarował swą przyjaźń. A wtedy, bez względu na to, jak ubogi czy bezsilny był suplikant, don Corleone brał sobie do serca jego kłopoty. A nagroda? Przyjaźń, pełen uszanowania tytuł „dona”, czasem zaś serdeczniejsze miano „Ojciec Chrzestny”. I może też, jedynie dla okazania szacunku, nigdy dla zysku, jakiś skromny podarek — galon domowego wina czy koszyk pieprznych *taralli*, specjalnie upieczonych, by mu umilić gwiazdkowy stół. Było przyjęte, należało po prostu do dobrych obyczajów głosić, że jest się jego dłużnikiem i że ma prawo w każdej chwili zwrócić się o spłacenie długu jakąś drobną przysługą.

Teraz, w tym wielkim dniu, dniu ślubu swojej córki, don Vito Corleone stał w progu swego domu na Long Island, witając gości; wszystkich mu znanych, wszystkich zaufanych. Wielu z nich zawdzięczało donowi pomyślność w życiu i uważało, że w to rodzinne święto wolno im zwracać się doń bezpośrednio słowami „Ojczy Chrzestny”. Nawet usługujący podczas uroczystości byli jego przyjaciółmi. Barman był starym towarzyszem, który ofiarował w darze wszystkie weselne trunki oraz własne wysokie umiejętności. Kelnerzy byli przyjaciółmi synów dona Corleone. Potrawy rozstawione na piknikowych stołach przyrządziła jego żona wraz z przyjaciółkami, a wesoło przybrany festonami, jednoakrowy ogród został udekorowany przez koleżanki panny młodej.

Don Corleone przyjmował wszystkich — bogatych i biednych, potężnych i maluczkich — z jednakimi oznakami miłości. Nikogo nie lekceważył. Taki miał charakter. A goście tak zachwycali się tym, jak świetnie wygląda w smokingu, iż nieświadomy obserwator mógłby łatwo pomyśleć, że to sam don jest szczęśliwym oblubieńcem.

W drzwiach stali przy nim dwaj z jego trzech synów. Na najstarszego, ochrzczonego Santino, ale nazywanego Sonny przez wszystkich z wyjątkiem ojca, krzywo patrzyli wszyscy starsi Włosi, z podziwem zaś młodzi. Sonny Corleone był wysoki jak na Amerykanina w pierwszym pokoleniu pochodzenia włoskiego; miał prawie sześć stóp wzrostu, a gęste kędzierzawe włosy sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy. Twarz jego była twarzą rubasznego kupidy, rysy miał regularne, ale wygięte w łuk wargi były nabrzmiałe zmysłowością, a broda z dołeczkiem w jakiś osobliwy sposób lubieżna. Zbudowany był potężnie jak byk, a powszechnie wiadano, iż natura wyposażyła go tak szczerze, że jego umęczona żona bała się małżeńskiego łoża tak, jak niegdyś niewierzący bali się łamania kołem. Szeptano sobie, że kiedy jako młodzieniec odwiedzał domy złej sławy, nawet najbardziej zaprawione i nieuleknione prostytutki, obejrzawszy z nabożnym szacunkiem jego masywny organ, żądały podwójnej zapłaty.

Tutaj, na przyjęciu weselnym, niektóre młode mężatki, szerokobiodre i szerokouste, taksowały Sonny'ego Corleone chłodnymi, ufnymi oczyma. Jednakże tego dnia marnowały czas na próżno. Sonny Corleone, pomimo obecności żony i trojga małych dzieci, miał plany co do druhny swej siostry, Lucy Mancini. Ta młoda dziewczyna, w pełni tego świadoma, siedziała przy ogrodowym stoliku w odświeżonej różowej sukni i diademie z kwiatów na lśniących czarnych włosach. Flirtowała z Sonnym w minionym tygodniu weselnych prób i tego rana uściśnęła mu dłoń przy ołtarzu. Druhna nie mogła uczynić nic więcej.

Nie dbała o to, że nigdy nie miał być takim wielkim człowiekiem, jakim okazał się jego ojciec. Sonny Corleone miał siłę, miał odwagę. Był wspaniałomyślny, a przyznawano, że serce ma równie wielkie jak przyrodzenie. Jednakże nie odznaczał się skromnością ojca; był popędliwy i zapalczywy, co go doprowadzało do błędów w ocenie ludzi. Aczkolwiek był wielką pomocą w interesach ojca, wielu wątpiło, czy je po nim odziedziczy.

Drugi syn, Frederico, nazywany Fredem albo Fredo, był takim

dzieckiem, o jakie każdy Włoch modli się do świętych. Posłuszny, lojalny, zawsze na usługi ojca, mieszkał z rodzicami mając lat trzydzieści. Był niski i krępy, niezbyt urodziwy, ale z tą samą twarzą kupidyna, co wszyscy w rodzinie, z kędzierzawym hełmem włosów i zmysłowymi, wygiętymi w łuk wargami. U Freda te wargi były nie tyle zmysłowe co granitowe. Skłonny do posepności, był jednak dla ojca podporą, nigdy się z nim nie spierał, nigdy nie wprawiał go w zakłopotanie gorszącym postępowaniem z kobietami. Mimo tych wszystkich zalet nie miał osobistego magnetyzmu, tej fizycznej siły, tak niezbędnej przywódcy, więc również nie przewidywano, by odziedziczył rodzinne interesy.

Trzeci syn, Michael Corleone, nie stał razem z ojcem i dwoma braćmi, ale siedział przy stoliku w najbardziej ustronnym zakątku ogrodu. Jednakże nawet i tam nie mógł się wymknąć spod uwagi przyjaciół rodziny.

Michael Corleone był najmłodszym synem dona i jedynym dzieckiem, które uchyliło się od pokierowania przez tego wielkiego człowieka. Nie miał ciężkiej, kupidynowej twarzy innych dzieci, a jego kruczoczarne włosy były proste, nie kędzierzawe. Cerę miał jasnooliwkowego koloru, który uznano by za piękny u dziewczyny. Był przystojny w jakiś delikatny sposób. W pewnym okresie don nawet niepokoił się o męskość swojego najmłodszego syna. Niepokój ten został uśmierzony, kiedy Michael Corleone skończył lat siedemnaście.

Teraz ten najmłodszy syn siedział przy stoliku w najdalszym kącie ogrodu, aby zaznaczyć swoje świadome odseparowanie się od ojca i rodziny. Obok siedziała młoda Amerykanka, o której każdy słyszał, lecz której nikt nie widział do dzisiejszego dnia. Michael okazał, ma się rozumieć, właściwy szacunek i przedstawił ją wszystkim obecnym na weselu, z członkami rodziny włącznie. Dziewczyna nie wywarła na nich wrażenia. Była chuda, zbyt jasnowłosa, miała zbyt inteligentną twarz jak na kobietę, a sposób bycia za swobodny jak na pannę. Nazwisko jej też było obce dla ich uszu; nazywała się Kay Adams. Gdyby im powiedziała, że jej rodzina osiadła w Ameryce przed dwustu laty, nazwisko zaś jest pospolite, wzruszyliby ramionami.

Wszyscy goście spostrzegli, że don nie zwraca szczególnej uwagi na swego trzeciego syna. Michael był przed wojną jego ulubieńcem i najwyraźniej wybranym spadkobiercą, który poprowadziłby interesy rodzinne, kiedy nadszedłby odpowiedni moment. Miał

całą spokojną siłę i inteligencję swego wielkiego ojca, wrodzony instynkt postępowania w taki sposób, że ludzie nie mogli go nie szanować. Wszakże kiedy wybuchła druga wojna światowa, Michael Corleone zgłosił się na ochotnika do piechoty morskiej. Czyniąc to, przeciwstawił się wyraźnemu nakazowi ojca.

Don Corleone nie pragnął i nie zamierzał pozwolić, by jego najmłodszy syn poległ w służbie obcego mu mocarstwa. Doktorzy zostali przekupieni, potajemne kroki poczynione. Wydano wiele pieniędzy na odpowiednie zabezpieczenie. Jednakże Michael miał dwadzieścia jeden lat i nie można było nic poradzić na jego samowolę. Zaciągnął się i walczył na Pacyfiku. Został kapitanem i zdobył medale. W 1944 roku jego zdjęcie zamieszczono w magazynie „Life” wraz z fotograficznym reportażem o jego czynach. Któryś z przyjaciół pokazał to pismo donowi Corleone (rodzina nie śmiała tego zrobić), don prychnął wzgardliwie i powiedział: „Dokonuje tych cudów dla obcych”.

Kiedy Michael Corleone został zwolniony z wojska na początku 1945, aby wyleczyć się z poważnej rany, nie miał pojęcia, że to zwolnienie załatwił jego ojciec. Pozostawał w domu parę tygodni, po czym, nie radząc się nikogo, wstąpił do Dartmouth College w Hanover, w stanie New Hampshire, i opuścił dom ojca. Wrócił na ślub siostry, by pokazać wszystkim swą przyszłą żonę, tę wymoczkowatą mizerną Amerykankę.

Michael Corleone zabawiał Kay Adams opowiadaniem historyjek na temat co barwniejszych gości weselnych. Jego samego z kolei bawiło to, że ci ludzie wydawali jej się egzotyczni; jak zawsze był oczarowany żywym zainteresowaniem Kay wszystkim, co nowe i obce jej doświadczeniu. W końcu zwróciła uwagę na grupkę mężczyzn zgromadzonych wkoło drewnianej beczki z domowym winem. Mężczyznami tymi byli Amerigo Bonasera, piekarz Nazorine, Anthony Coppola i Luca Brasi. Z właściwą sobie inteligencją skomentowała fakt, że ludzie ci nie wydawali się szczególnie radośni. Michael uśmiechnął się.

— Bo nie są — powiedział. — Czekają na rozmowę z ojcem na osobności. Mają do niego jakieś prośby.

W istocie łatwo było dostrzec, że wszyscy czterej ustawicznie wodzą za donem oczami.

Kiedy don Corleone stał, witając gości, czarna limuzyna marki

Chevrolet zatrzymała się po drugiej stronie brukowanego placyku. Dwaj mężczyźni na przednim siedzeniu wydobyli z marynarek notatniki i nie próbując się kryć, jęli zapisywać numery innych samochodów zaparkowanych dokoła placyku. Sonny obrócił się do ojca.

— Ci faceci to muszą być gliny.

Don Corleone wzruszył ramionami.

— Ulica nie jest moją własnością. Mogą robić, co im się podoba.

Pyzata, kupidynowa twarz Sonny'ego poczerwieniała z gniewu.

— Te parszywe dranie niczego nie uszanują.

Zszedł ze stopni domu i ruszył przez placyk ku miejscu, gdzie stała czarna limuzyna. Gniewnie przysunął twarz do twarzy kierowcy, który nie cofnął się, tylko otworzył swój portfel, pokazując zieloną legitymację. Sonny odstał w tył bez słowa. Splunął tak, że ślina trafiła w tylne drzwi limuzyny, i odszedł. Miał nadzieję, że kierowca wysiądzie i ruszy za nim przez placyk, ale tak się nie stało. Kiedy dotarł do schodów, powiedział ojcu:

— Ci goście są z FBI. Zapisują numery wszystkich wozów. Paskudne dranie.

Don Corleone orientował się, co to za jedni. Jego najbliższym i najlepszym przyjaciołom doradzono, żeby przyjechali na wesele nie swoimi samochodami. I chociaż nie pochwalał niemądrego odruchu złości syna, wybryk ten był pożyteczny. Mógł przekonać intruzów, że ich obecność jest nieprzewidywana i niepożądana. Tak więc sam don Corleone nie był rozżłoszczony. Dawno już nauczył się, że społeczeństwo mnoży zniewagi, które trzeba znosić, pocieszając się świadomością, że na tym świecie przychodzi czas, kiedy najskromniejszy z ludzi, jeżeli ma otwarte oczy, może się zemścić na najbardziej możliwych. Ta świadomość sprawiła, że don nie utracił owej pokory, którą w nim podziwiali wszyscy przyjaciele.

Tymczasem w ogrodzie za domem zaczęła właśnie grać czteroosobowa orkiestra. Wszyscy goście już przybyli. Don Corleone przestał myśleć o intruzach i poprowadził obydwu synów na zabawę weselną.

W wielkim ogrodzie zebrały się setki gości; jedni tańczyli na drewnianym podium ozdobionym kwiatami, inni siedzieli przy długich stołach, zastawionych przyprawionymi na ostro potrawami

oraz wielkimi dzbanami domowego czerwonego wina. Panna młoda, Connie Corleone, siedziała w pełni splendoru przy specjalnym stole na podwyższeniu, wraz z panem młodym, pierwszą druhną, druhnami i družbami. Była to wiejska oprawa w dawnym włoskim stylu. Nie przypadła do gustu pannie młodej, ale Connie zgodziła się na „makaroniarskie” wesele, by sprawić przyjemność ojcu, ponieważ tak bardzo mu się naraziła wyborem męża.

Pan młody, Carlo Rizzi, był półkrwi Sycylijczykiem, zrodzonym z sycylijskiego ojca i matki z północnych Włoch, po której odziedziczył blond włosy i niebieskie oczy. Rodzice jego mieszkali w Nevadzie, a Carlo opuścił ten stan wskutek drobnego zatargu z prawem. W Nowym Jorku zetknął się z Sonnym Corleone i w ten sposób poznał jego siostrę. Don Corleone, ma się rozumieć, posłał do Nevady zaufanych przyjaciół, którzy donieśli, że kłopoty Carla z policją były młodzieńczą nieogłędnością w posługiwaniu się bronią, rzeczą niepoważną, którą można bez trudu wymazać z akt, by młody człowiek miał czysty rejestr. Wrócili także ze szczegółowymi informacjami o legalnym hazardzie w Nevadzie, które ogromnie zainteresowały dona i nad którymi zastanawiał się od tamtej pory. Do wielkości dona należało to, że czerpał korzyść z każdej rzeczy.

Connie Corleone była niezbyt ładną dziewczyną, chudą, nerwową, taką, która musiała stać się jędzowata w późniejszym życiu. Jednakże dzisiaj, przeobrażona przez białą ślubną suknię, była taka promienna, że niemal piękna. Jej dłoń pod drewnianym stołem spoczywała na muskularnym udzie pana młodego. Ustami posyłała mu pocałunki.

Uważała go za niewiarygodnie przystojnego. Carlo Rizzi, kiedy był bardzo młody, pracował na pustyni, wykonując ciężką fizyczną robotę. Teraz miał potężne przedramiona, a bary rozsadały marynarce jego smokinga. Napawał się adorującym wzrokiem oblubienicy i dolewał jej wina. Był dla niej wymyślnie uprzejmy, tak jakby oboje grali w jakiejś sztuce. Jednakże jego oczy ciągle zerkały ku pojemnej jedwabnej torebce, którą panna młoda miała zawieszoną na prawym ramieniu i która była teraz wypchana kopertami z pieniędzmi. Ile tam tego było? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy? Carlo Rizzi uśmiechnął się. To dopiero początek. Bądź co bądź, wzenił się w królewską rodzinę. Będą musieli dbać o niego.

W tłumie gości zgrabny młody człowiek z głową łasicy też przypatrywał się bacznie jedwabnej torebce. Ze zwykłego przyzwyczajenia Paulie Gatto zastanawiał się, jak by też przystąpił do zwędzenia tej opasłej sakiewki. Myśl ta bawiła go. Wiedział, że są to czcze, niewinne rojenia, podobnie jak małe dzieci roją sobie, że rozbijają czołgi z pukawek. Obserwował swojego szefa, tłustego mężczyznę w średnim wieku, Petera Clemenzę, który wirował z młodymi dziewczętami po drewnianym parkiecie w wiejskiej, rozhukanej *tarantelli*. Clemenza, człowiek olbrzymiego wzrostu, olbrzymiej tuszy, tańczył tak umiejętnie i z taką swobodą, lubieżnie ocierając się twardym brzuchem o biusty młodszych drobniejszych kobiet, że wszyscy goście go oklaskiwali. Starsze kobiety chwyciły go za ramię, by też z nim zatańczyć. Młodszy mężczyźni z uszanowaniem wycofywali się z parkietu i klaskali w takt rozszalałych dźwięków mandoliny. Kiedy Clemenza w końcu opadł na krzesło, Paulie Gatto przyniósł mu szklanę lodowatego czerwonego wina i otarł jedwabną chustką spocone jowiszowe czoło. Clemenza sapał jak wieloryb, łykając wino. Jednakże zamiast podziękować Pauliemu, powiedział krótko:

— Nie baw się w sędzię od tańca, rób swoje. Przejdź się po terenie i sprawdź, czy wszystko w porządku.

Paulie wśliznął się w tłum.

Orkiestra zrobiła przerwę, by się odświeżyć. Młody człowiek nazwiskiem Nino Valenti wziął porzuconą mandolinę, postawił lewą stopę na krześle i zaczął śpiewać rozwiątlą sycylijską piosenkę miłosną. Twarz Nina Valenti była przystojna, chociaż obrzmiała od ustawicznego picia, i był już trochę wstawiony. Wywracał oczami, gdy jego język pieścił sprośne słowa piosenki. Kobiety piszczwały z uciechy, a mężczyźni wykrzykiwali wraz ze śpiewakiem ostatni wyraz każdej strofki.

Don Corleone, znany z surowości w takich sprawach, wycofał się taktownie do domu, choć jego tęga żona pokrzykiwała radośnie razem z innymi. Widząc to, Sonny Corleone przecisnął się do stołu panny młodej i usiadł obok pierwszej drużny, Lucy Mancini. Byli bezpieczni. Jego żona dokonywała w kuchni ostatnich zabiegów przed podaniem tortu weselnego. Sonny szepnął dziewczynie parę słów do ucha, ta zaś wstała. Sonny odczekał parę minut i od niechcienia ruszył za nią. Przeciskał się przez tłum, zatrzymując się tu i ówdzie, by porozmawiać z którymś z gości.

Wszystkie oczy podążały za nimi. Pierwsza drużna, całkowicie

zamerykanizowana przez trzy lata college'u, była dojrzałą dziewczyną, mającą już „reputację”. Przez cały okres prób przed ceremonią ślubu flirtowała z Sonnym Corleone w sposób przekorny, żartobliwy, uważając, że jest to dozwolone, ponieważ Sonny był drużbą, a ona jego weselną partnerką. Teraz, uniósłszy różową suknię znad ziemi, Lucy Mancini weszła do domu, uśmiechając się ze sztuczną niewinnością, i wbiegła lekko po schodach do toalety. Pozostała tam kilka minut. Kiedy wyszła, Sonny Corleone był już na podeście i dał jej znak, by się udała wyżej.

Zza zamkniętego okna gabinetu dona Corleone, nieco podwyższonego narożnego pokoju, Thomas Hagen obserwował zabawę w ozdobionym festonami ogrodzie. Za sobą miał ściany zastawione książkami prawniczymi. Hagen był adwokatem i *consigliori*, czyli doradcą dona, i jako taki zajmował najważniejsze podległe stanowisko w interesach Rodziny. Obaj z donem rozwiązywali w tym pokoju wiele zawiłych problemów, toteż kiedy zobaczył, że Ojciec Chrzestny wycofuje się z zabawy i wchodzi do domu, wiedział, że czy jest wesele, czy nie, będzie tego dnia trochę roboty. Don idzie z nim porozmawiać. A potem Hagen zauważył, że Sonny Corleone szepcze coś do ucha Lucy Mancini, i widział ich małą komedię, kiedy Sonny szedł za nią do domu. Hagen skrzywił się, zastanowił, czy powiadomić dona, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Podszedł do biurka i wziął ręcznie spisaną listę osób, którym udzielono zezwolenia na prywatną rozmowę z donem Corleone. Kiedy don wszedł do pokoju, Hagen podał mu listę. Don Corleone skinął głową i powiedział:

— Zostaw Bonaserę na koniec.

Hagen wyszedł drzwiami balkonowymi prosto do ogrodu, gdzie petenci skupili się wkoło beczki wina. Wskazał palcem pucołowatego piekarza, Nazorine.

Don Corleone uściskał piekarza na powitanie. Bawili się razem jako dzieci we Włoszech i dorastali w przyjaźni. W każdą Wielkanoc napływały do domu dona Corleone świeżo upieczone serniki i pszenne placki, ze skórką złotą od żółtka, ogromne jak koła ciężarówek. W Boże Narodzenie, w dni urodzin suto oblane kremem ciastka świadczyły o szacunku Nazorinego. A przez wszystkie lata, tłuste czy chude, Nazorine ochoczo wpłacał składki związkowi piekarzy zorganizowanemu przez dona za jego młodzieńczych lat. Nigdy nie prosił w zamian o żadną uprzejmość, z wyjątkiem możliwości zakupienia na czarnym rynku bonów na

cukier, wypuszczanych przez urząd regulacji cen w czasie wojny. Teraz nadeszła dla piekarza, jako lojalnego przyjaciela, pora upomnienia się o swoje prawa i don Corleone z wielką przyjemnością myślał o spełnieniu jego prośby.

Poczęstował piekarza cygarem Di Nobili oraz kieliszkiem żółtej stregi i położył mu dłoń na ramieniu, aby go przynaglić do mówienia. To było świadectwem dobroci dona. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, jakiej trzeba odwagi, by prosić drugiego człowieka o łaskę.

Piekarz opowiedział historię swej córki i Enza. Miły włoski chłopak z Sycylii, wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie, odesłany do Stanów Zjednoczonych jako jeńiec wojenny i zwalniany warunkowo, aby pomagać w naszym wysiłku wojennym! Czysta i uczciwa miłość zrodziła się między zacnym Enzem a wychuchaną Katherine, ale teraz, kiedy wojna się zakończyła, biedny chłopiec miałby być repatriowany do Włoch i córka Nazorinego na pewno umarłaby ze zmartwienia. Jedyne Ojciec Chrzestny Corleone mógł dopomóc tej ciężko doświadczonej parze. Był jej ostatnią nadzieją.

Don prowadził Nazorinego tam i z powrotem po pokoju, trzymając mu rękę na ramieniu, kiwając głową ze zrozumieniem, aby mu dodać odwagi. Kiedy piekarz skończył, don Corleone uśmiechnął się do niego i rzekł:

— Mój drogi przyjacielu, odsuń od siebie wszelkie zmartwienia.

Następnie wyjaśnił bardzo dokładnie, co należy zrobić. Trzeba zwrócić się z petycją do okręgowego kongresmana. Kongresman przedłoży specjalny projekt ustawy, która pozwoliłaby Enzowi uzyskać obywatelstwo. Projekt ten z pewnością przejdzie w Kongresie. Jest to przywilej, którego wszystkie te dranie udzielają sobie wzajemnie. Don Corleone wyjaśnił, że będzie to kosztowało; obecnie cena wynosi dwa tysiące dolarów. On, don Corleone, zagwarantuje załatwienie sprawy i przyjmie zapłatę. Czy jego przyjaciel się zgadza?

Piekarz energicznie pokiwał głową. Nie spodziewał się tak wielkiej łaski za nic. To było zrozumiałe. Specjalny akt Kongresu nie wypada tanio. Nazorine dziękował nieledwie ze łzami. Don Corleone odprowadził go do drzwi, zapewniając, że kompetentni ludzie zostaną przysłani do piekarni, aby załatwić wszelkie szczegóły, skompletować wszystkie potrzebne dokumenty. Piekarz uściskał go, zanim zniknął w ogrodzie.

Hagen uśmiechnął się do dona.

— To dobra inwestycja dla Nazorinego. Zięć i tani dożywotni pomocnik w piekarni, a wszystko razem za dwa tysiące dolarów. — Przerwał. — Komu mam dać tę robotę?

Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu.

— Nie naszemu *paisanowi*. Daj to temu Żydowi, który mieszka w sąsiedniej dzielnicy. Każ zmienić adresy domowe. Myślę, że teraz, po wojnie, może być dużo takich przypadków. Powinniśmy mieć dodatkowych ludzi w Waszyngtonie, którzy mogliby załatwić napływ tych spraw, nie podnosząc ceny. — Hagen zanotował coś sobie na bloku. — Nie kongresman Luteco. Spróbuj Fischera.

Następny petent, którego Hagen wprowadził, miał sprawę bardzo prostą. Nazywał się Anthony Coppola i był synem człowieka, z którym don Corleone pracował za młodu w warsztatach kolejowych. Coppola potrzebował pięciuset dolarów, aby otworzyć pizzerię — na kaucję za urządzenie oraz specjalny piec. Z przyczyn, w które nie wninkano, nie mógł uzyskać kredytu. Don sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. Nie było całej sumy. Skrzywił się i poprosił Toma Hageną:

— Pożycz mi sto dolarów, zwrócę ci w poniedziałek, jak pójde do banku.

Petent zaczął zapewniać, że czterysta dolarów wystarczy aż nadto, ale don Corleone poklepał go po ramieniu, mówiąc tonem usprawiedliwienia:

— Przez to frymuśne wesele trochę mi zabrakło gotówki.

Wziął podane przez Hageną pieniądze i wręczył je Anthony'emu Coppoli wraz z własnym zwitkiem banknotów.

Hagen przypatrywał się temu z cichym podziwem. Don zawsze uczył, że kiedy ktoś jest szczodrośliwy, musi okazać tę szczodrośliwość jako coś osobistego. Jakież to pochlebne dla Anthony'ego Coppoli, że taki człowiek jak don pożycza pieniądze, aby jemu udzielić pożyczki! Coppola oczywiście wiedział, że don jest milionerem, ale iluż milionerów pozwala, by ich spotkała choćby drobna niedogodność z winy ubogiego przyjaciela?

Don podniósł pytająco głowę. Hagen rzekł:

— Luca Brasi nie jest na liście, ale chce się z panem zobaczyć. Rozumie, że to nie może się odbyć publicznie, ale chce panu powinszować.

Po raz pierwszy don wydał się niezadowolony. Odpowiedź była wymijająca.

— Czy to konieczne? — zapytał.

Hagen wzruszył ramionami.

— Pan go rozumie lepiej niż ja. Ale jest bardzo wdzięczny, że pan go zaprosił na wesele. Nigdy się tego nie spodziewał. Myślę, że chce okazać swoją wdzięczność.

Don Corleone kiwnął głową i dał znak, żeby przyprowadzić do niego Lucę Brasi.

W ogrodzie Kay Adams zdumiała się gwałtowną furią odmalowaną na twarzy Luki Brasi. Spytała o niego. Michael przyprowadził Kay na wesele, ażeby powoli i może bez zbyt dużego wstrząsu wchłonęła prawdę o jego ojcu. Jednakże jak dotąd zdawała się uważać dona za odrobinę nieetycznego biznesmena. Michael postanowił powiedzieć jej część prawdy pośrednio. Wyjaśnił, że Luca Brasi jest jednym z ludzi budzących największy postrach w świecie podziemnym na Wschodnim Wybrzeżu. Mówiono, iż jego wielki talent polega na tym, że potrafi dokonać morderstwa sam jeden, bez współników, co automatycznie czyni wykrycie i zasądzenie prawie niepodobieństwem. Michael skrzywił się i dodał:

— Nie wiem, czy to wszystko prawda. Ale wiem, że jest przyjacielem ojca.

Po raz pierwszy Kay zaczęła rozumieć. Spytała z lekkim niedowierzaniem:

— Chyba nie dajesz do zrozumienia, że taki człowiek pracuje dla twego ojca?

Do diabła z tym — pomyślał. Powiedział prosto z mostu:

— Blisko piętnaście lat temu pewni ludzie chcieli przejąć import oliwy, który prowadził mój ojciec. Próbowali go zabić i o mało im się to nie udało. Luca Brasi zaczął ich tropić. Podobno zabił sześciu ludzi w dwa tygodnie i to zakończyło słynną wojnę o oliwę. — Uśmiechnął się tak, jakby to był żart.

Kay wzdrygnęła się.

— To znaczy, że do twojego ojca strzelali gangsterzy?

— Piętnaście lat temu — wyjaśnił Michael. — Od tej pory jest spokój. — Złakł się, że posunął się za daleko.

— Próbujesz mnie przestraszyć — powiedziała Kay. — Po prostu nie chcesz, żebym za ciebie wyszła. — Uśmiechnęła się i dała mu kuksańca w bok. — Bardzo sprytnie.

Michael odwzajemnił jej uśmiech.

— Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła — odrzekł.

— Naprawdę zabił sześciu ludzi? — spytała.

— Tak twierdziły gazety — odparł Mike. — Nikt tego nigdy nie udowodnił. Ale jest inna historia na jego temat, której nikt nigdy nie opowiada. Podobno jest taka straszna, że nawet ojciec nie chce o tym mówić. Tom Hagen ją zna i nie chce mi jej zdradzić. Raz się z nim przekomarzałem i zapytałem: „Kiedy będę dostatecznie dorosły, żeby usłyszeć tę historię o Luce?”, a Tom powiedział: „Jak będziesz miał sto lat”. — Michael napił się wina. — To musi być nie byle jaka historia. I nie byle jaki ten Luca.

Istotnie, Luca Brasi był człowiekiem, który przestraszyłby samego diabła w piekle. Niski, przysadzisty, o masywnej czaszce, samą swą obecnością nadawał sygnały zagrożenia. Twarz jego jakby zakrzepła w maskę furii. Oczy miał piwne, ale bez ciepła właściwego tej barwie, raczej matowopłowe. Usta były nie tyle okrutne, co bez życia — wąskie, gumowate, koloru cieleniny.

Opinia o gwałtowności Brasiego budziła grozę, a jego oddanie donowi Corleone było legendarne. Sam w sobie stanowił jeden z wielkich bloków podtrzymujących strukturę władzy don'a. Tacy jak on należeli do rzadkości.

Luca Brasi nie bał się policji, nie bał się społeczeństwa, nie bał się Boga, nie bał się piekła, nie bał się ani nie kochał swego bliźniego. Ale zdecydował się, postanowił sobie bać się i kochać don'a Corleone. Przeprowadzony przed oblicze don'a, straszliwy Brasi cały zeszytywniał z respektu. Wybąkał kwieciste powinszowania i wyrazy nadziei, że pierwsze wnuczę będzie rodzaju męskiego. Następnie wręczył donowi kopertę wypchaną gotówką jako prezent dla nowożeńców.

A więc to chciał uczynić. Hagen zauważył zmianę w donie Corleone. Don przyjął Brasiego tak, jak król wita poddanego, który wyświadczył mu ogromną przysługę — bez poufałości, ale z monarszym szacunkiem. Każdym swym gestem, każdym słowem don Corleone wyraźnie okazywał Brasiemu, że jest ceniony. Ani przez chwilę nie pokazał zdziwienia, że prezent ślubny zostaje wręczony jemu osobiście. Zrozumiał.

Pieniądzy w kopercie było bez wątpienia więcej, niż ich dał ktokolwiek inny. Brasi poświęcił wiele godzin na powzięcie decyzji co do sumy, na porównywanie jej z tym, co mogą ofiarować inni goście. Chciał być najhojniejszy, aby pokazać, że ma najwięcej szacunku, i dlatego wręczył kopertę donowi osobiście, którą to niezręczność don pominął w kwiecistych słowach podziękowania.

Hagen widział, jak twarz Luki Brasi pozbywała się maski furii i nabrzmiewała dumą i satysfakcją. Brasi ucałował dłoń dona, nim wyszedł drzwiami, które otworzył mu Hagen. Hagen przezornie obdarzył Brasiego przyjaznym uśmiechem, który krępy mężczyzna pokwitował uprzejmym rozciągnięciem gumowatych warg barwy cieleciny.

Kiedy drzwi się zamknęły, don Corleone wydał ciche westchnienie ulgi. Brasi był jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił przyprawić go o nerwowość. Był jakby siłą natury, w gruncie rzeczy niepodlegającą kontroli. Należało obchodzić się z nim ostrożnie jak z dynamitem. Don wzruszył ramionami. Nawet dynamit można detonować bez szkody, jeżeli zajdzie potrzeba. Popatrzył pytająco na Hageną.

— Czy został tylko Bonasera?

Hagen kiwnął głową. Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym rzekł:

— Zanim go wprowadzisz, powiedz Santinowi, żeby tu przyszedł. Powinien nauczyć się pewnych rzeczy.

Wyszedszy do ogrodu, Hagen zaczął pilnie rozglądać się za Sonnym Corleone. Powiedział Bonasera, żeby czekał cierpliwie, po czym podszedł do Michaela Corleone i jego dziewczyny.

— Widziałeś gdzieś Sonny'ego? — zapytał.

Michael potrząsnął głową. Do diabła — pomyślał Hagen — jeżeli Sonny przez cały ten czas rżnie pierwszą druhnę, będzie z tego masa kłopotów. Jego żona, rodzina dziewczyny; może dojść do katastrofy. Niespokojnie pospieszył do wejścia, w którym prawie pół godziny temu widział znikającego Sonny'ego.

Widząc, że Hagen wchodzi do domu, Kay Adams zapytała Michaela Corleone:

— Kto to taki? Przedstawiłeś go jako brata, a przecież ma inne nazwisko i na pewno nie wygląda na Włocha.

— Tom mieszkał z nami od dwunastego roku życia — odrzekł Michael. — Jego rodzice umarli i włączył się po ulicach z paskudną infekcją oka. Sonny sprowadził go któregoś wieczoru do domu i Tom po prostu został. Nie miał gdzie iść. Mieszkał u nas, dopóki się nie ożenił.

Kay Adams była zachwycona.

— To naprawdę romantyczne — zawołała. — Twój ojciec musi mieć bardzo dobre serce. Tak zaadoptować kogoś, kiedy ma się tyle własnych dzieci.